

Pogawedka niedzielna

0 tydzień zapóźno...

Jako motto dzisiejszej pogawędki powinienem podać znane przysłowie: „Lepiej późno, niż wcale”. Mam bowiem zamiar skreślić kilka słów o wielkiej matce wielkiego człowieka, a święto matki obchodzone akurat tydzień temu... Młode skaucki, uczniowie i uczennice manifestowali na ulicach Warszawy właśnie zeszłej niedzieli. Po złożeniu hołdu matce — mocno zmęczeni i zgrzani — wracali do domu, gdzie czekały na nich rodzone matki. Jedne uśmiechały się, inne może zrzędziły, jeszcze inne dawały nauki i przestrogi. Wszyscy jednak młodzi obywateli czuli, jak wielką miłość płonie w oczach i odsłania się w ruchach ich matek, gdy się do nich zwracały ze słowami powitania.

Każda matka jest inna, ale uczucia macierzyńskie pozostają jednymi z najwznioślejszych na tym padole, zwanym ziemią. W najcięższych chwilach myśli dojrzałego człowieka cofną się w przeszłość, żeby spojrzeć w wyblakłe już nieraz oblicze swej rodzicielki i z niego czerpać otuchę do dalszych zmagani z życiem.

Przed laty zdarzyło mi się czytać jakieś niezmiernie ponure wspomnienia katar niemieckiego. Zapewnia on, że najzatarwiałsi zbrodniarze tuż przed śmiercią szepotali do siebie: „matko, matko”, jakby w tym słowie szukając ostatniego pocieszenia?

A ludzie wielcy i wybitni?

Marszałek Piłsudski wyznaje, że w najtrudniejszych chwilach swego życia zawsze zwracał się do matki, starając się odgadnąć, jakby ona w danym wypadku postąpiła. Gdy znalazł odpowiedź, działał, na nic się już nie oglądając.

Stalin raz na rok ucieka, ze swego hermetycznego zamknięcia na Kremlu do rodzinnej wsi. Na czas wizyty matka — starszyska zdejmując ze ścian święte obrazy, żeby nie drażnić materialistycznego uczuć swego możnego syna. A dyktator 160 milionów ludzi, patrząc na ciemne ślady po obrazach, uśmiecha się zapewne nad słabością matki, która marzyła o duchownej jego karierze... Nie spełnił jej najgorętszych pragnień... Zasiadają do stołu, rozmawiają... I wówczas piastun najrozleglejszej władzy, jaką kiedykolwiek w czasach nowożytnych dzierżył człowiek nad innymi, przedzierzga się tylko w syna — w małego Soso.

Napoleon niedługo przed śmiercią na skaliskach 6-tej Heleny wyznaje: „Wszystko, czym jestem i byłem, zawdzięczam mej matce. Nauczyła mnie swych zasad i zwyczajów pracy”.

Letycja Bonaparte — wielka matka wielkiego człowieka — była doprawdy kobietą niezwykłą... Praktyczna, oszczędna, zapobiegliwa — patrzyła na życie trze-

źwo. Nadzwyczajna, jak z bajki, karjera jej drugiego syna Napoleona nie zdołała przygłuszyć w jej sercu niepokojów. Wprawdzie nigdy nie zwracała się do niego ze słowami przestrogi, bo nie pozwalała na to duma i jej i jego, lecz w najświetniejszych czasach cesarstwa szeptała do otoczenia, ze swym włoskim akcentem: „Pourvu que cela dure”. Oszczędzała namyślnie, jakby w przecuciu, że kiedyś jej Napoleon zwróci się do matki po pieniądze. Nie jako cesarz, ale jako człowiek, który stracił wszystko. Intuicją matczynego serca wy czuwała snąc okrutny los synowski. Zie przecucia osłaniały mgłą zadumy najpiękniejsze chwile i najradośniejsze momenty w iście bajecznej karierze syna, nie pozwalając nigdy cieszyć się bez troski. I rzecz charakterystyczna: Letycja Bonaparte odnalazła spokój dopiero wówczas, gdy Napoleon znalazł się na Elbie.

Dnie płynęły tutaj w ciszy i za dowloleniu, zdala od rozgwaru świata. Los syna i rodziny zdawał się ugrunтовany...

Aż któregoś wieczoru spotyka Napoleona w ogrodzie pod drzewem figowym. Cesarz wydaje jej się wzburzonym. Zbliża się do niej i mówi podnieconym głosem:

— Powiem mamie. Nikt nie powinien się o tem dowiedzieć, nawet Paulina... Zawiadamiam, że dziś w nocy odjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Paryża!

— Chwila ciszy.

— Proszę o radę — brzmi dalej głos Napoleona.

Serce matki zamiera... Wiele znów walka, znów niepewność, może zupełne załamanie, może śmierć...

Ale dumna Włoszka opanowuje się. Rozumie, że podczas dalekiej wyprawy nie powinien brzmieć w uszach synowskich słowa trwogi, więc mówi twardo:

— Bądź posłuszny swemu losowi. Nie może być wola boska, byś umarł od truciizny lub po bezczynnej starości, ale z mieczem w dłoni. Ufajmy pomocy Madonny.

Nie pomogło błogosławieństwo Letycji. Jeszcze jedna studniowa bajka, Waterloo i deportacja na odległą wyspę.

Do matki dochodzą stamtąd coraz smutniejsze wieści... Zbiera się w sobie i, nie bacząc na duma, pisze do monarchów, którzy bawili w tym czasie w Akwizgranie:

„Matka, ugięta bardziej, niż sól, wa wyrazić są zdolne, żywiła dłużej nadzieję, że zgromadzenie Wąszych Cesarzów i Królewskich Wysokości wróci jej znowu życie. Niepodobna, by niewola cesarza Napoleona nie stała się przedmiotem rozmowy i aby wielkoduszność potęga i pamięć dawniejszych wydarzeń nie skłoniły Wąszych Cesarzów i Królewskich Mości do działania w celu uwol-

nienia księcia, któremu Wasze Mości okazywały niegdyś przyjaźń. Błagam o to Boga i Was, którzy jesteście Jego namiestnikami na ziemi. Interesy państwowe mają swe granice. Potomność, darząca nieśmiertelnością, podziwia szlachetnego zwycięzcę”.

Monarchowie pominieli list milczeniem.

Letycja jest teraz śledzona. Szpiegzy donoszą, że rzuca miliony na wielki spisek, którego celem jest dokonanie przewrotu we Francji.

W Letycji znów budzi się duma i daje królówi taką odpowiedź przez sekretarza papieskiego:

„Powiedz pan papieżowi, aby król usłyszał me słowa: gdybym miała szczęście posiadać te wszystkie miliony, które mi przysądza ją, nie werbowałabym stronników dla mego syna, on ma ich dosyć. Uzbrowałabym raczej flotę, któraby go uwięziła na wyspy, gdzie więzi go niesprawiedliwość”.

Tą samą dumą tchną słowa wypowiedziane do austriackiego szlachcica:

„Czemuż to synowa moja ugania się po Italii, zamiast pojechać do meza na św. Helenę!”

Zbliżają się chwile najcięższe i wreszcie nadlatuje okrutna wieść:

— Napoleon umarł.

Stara, napół sparaliżowana Letycja przeżyje go o lat piętnaście. Niezmienna, jakby skamieniała w swej żalobie, każe się sadzać twarzą do popiersia syna, choć już od dawna osłępa i nie może widzieć rysów rzeźby. Żyje niby echo minionej epopei. W całej Europie je dynie jej służba nosi barwy cesarza i powóz jej jest ostatnim powozem, ozdobionym herbem napoleońskim.

W 1830 r. wybucha w Paryżu rewolucja. Bourbonowie zostają pozbawieni tronu. Korona przechodzi na dom Orleański w osobie Ludwika Filipa. Nowy król, wiedząc, jaką moc posiada legenda napoleońska, rozkazuje umieścić na kolumnie Vandome strącony stamtąd w 1815 r. posąg Napoleona.

Wiedź o tem przynosi matce Hieronim. Letycja każe zaprowadzić się do wielkiej sali i szuka ślepymi oczami popiersia...

Mówi starczym głosem:

— Cesarz znów jest w Paryżu.

Powrotu doczesnych szczątków swego wielkiego syna nie doczekała. Umarła na cztery lata przedtem...

Przeznaczenie kazało wielkiej matce wielkiego człowieka poznać wszystkie radości, przecucia i bóle, związane z niezwykłym losem syna. Na mniejszą skalę przeżywała podobne uczucia wszystkie matki świata. Dlatego to, chociaż o tydzień za późno pozwoliłem sobie w dzisiejszej pogawędce przypomnieć Czytelnikom i Czytelni kom postać dumnej Letycji Bonaparte.

Jan Waśniewski.

Setki tysięcy kupców i miliony gospodyń w Polsce znają, rozpowszechniają, używają i cenią wyroby Schichta:

Mydło Jeleń, Radion, Ceres, Lux, Vim
a także oleje jadalne Nelson i Minerwa.



Niewszycy jednak zdają sobie sprawę z ogromu zakładów

SCHICHT-LEVER S. A. WARSZAWA

w których wszystkie te produkty są wyrabiane. Mała ilustracja ma dać pojęcie o imponującej wielkości zakładów fabrycznych.

Z teatrów

Głupi Jakób

Komedja w 3-ach aktach Tadeusza Rittnera
w Teatrze Narodowym

Od premjery „Głupiego Jakóba” upłynęło już dwadzieścia sześć lat. Dla sztuki scenicznej okres to niebyłbyjaki. Czas jest dla utworów dramatycznych specjalnie bezwzględny. Demaskuje je, odziera z frazesów, odsłania bezlitośnie sztuczność i ukryte łatwizny. Tymczasem okazało się, że te ćwierć wieku nie stało się dla komedji Rittnera ciężarem. Podczas, gdy cały szereg najgłośniejszych nawet utworów Młodej Polski nie wytrzymał próby czasu, i pozostał tylko dokumentami pewnej epoki, wywołującymi w nas uczucia dalekie od bezpośredniości, „Głupi Jakób” oparł się zwycięsko zmianom życia, zachowując pełną świeżość wyrazu, niezamazaną ostrość rysunku.

Dziwna to sztuka. Gdy się jej uważnie przyjrzeć — ujrzy się jasno, jak wiele w niej banalności. Bo przecież banalni, jako typy, są w „Głupim Jakóbie” ludzie, banalne konflikty. „Głupi Jakób” jest utworem psychologicznym. Akcja komedji jest podporządkowana charakterom i w każdej scenie jest momentem, przeznaczonym do podkreślenia i wypuklenia pewnych wewnętrznych przeżyć ludzi. I na tej właśnie płaszczyźnie niema żadnych rewelacji. Psychologia postaci Rittnera obraca się w pewnych utartych i wielokrotnie już pokazywanych schematach. Niema w „Głupim Jakóbie” ani jednej postaci, której reakcje i przeżycia poruszyłyby nas nowością ujęcia.

Szambelan? Iluż już spotkaliśmy w literaturze starszych panów, którzy pod koniec egoistycznego, samotnego życia pokochują namiętnie młodą dziewczynę i pragną ją zdobyć za wszelką cenę,

choćby się nawet sami mieli ośzukiwać, aby nie widzieć, że to nie oni przyciągają i zwyciężają młodzież, lecz ich pieniądze. A Hania, córka farnala, wykształcona w domu sąsiadów, dziewczyna, której racja życiowa jest tak prosta: dojsz do bogactwa i stać się panią. A tych dwoje, typowych rezydentów — Marta, siostra Szambelana i jej mąż Teodor, eks-porucznik. A pani Katarzyna, matka Jakóba, obarczająca bez skrępowulw szambelana ojcostwem, aby jej syn, wychowany przez rzekomego ojca doczekał się znadobowania i dochrapał się majątku. A doktor, istotny ojciec Jakóba, fałszywy przyjaciel, intrygant, wreszcie i sam Jakób, prosty, szczery chłopak, uwikłany w kłamstwa, których nie rozumie, otwarcie wyznający szambelanowi, że nie jest jego synem...

Tych wszystkich ludzi już w pierwszym akcie dobrze poznamy. Nie zgoluja nam niespodzianek. Wiemy, że Jakób odrzucony przez Hanię, która pragnęła wyjść za niego zamaż, gdyby stał się spadkobiercą szambelana, odepdzie, domyślamy się również, że Hania zostanie z szambelanem. Rozwój wypadków w „Głupim Jakóbie” nie zaspakaja. Ich linja wyraźnie jest zarysowana już w pierwszym akcie.

Ale mimo to słucha się komedji Rittnera z niesłabnącem napięciem i wrażeniem, jakie pozostawia jest głębokie. Ta sztuka imponuje znakomitem napisaniem i wobec tych nieprzeciętnych wartości literackich zapomina się o wszystkich banalnościach. Rytm komedji przykuwa. DIALOG odsłania najtajniejsze myśli ludzkie, słucha się go z pełnym podziwem

dla kunsztu scenicznego autora. Żadnych dłużyzn, niezwykła naturalność i prostota, oszczędność słowa, misternie budzącego spłot ludzkich namiętności i pragnień. Prawdziwy, doskonały teatr. Rittner dowiódł „Głupim Jakóbem”, że dobry dramaturg w każdy materiał potrafi tchnąć ciepło i prawdziwość życia.

„Głupi Jakób” ma już na naszych scenach bogatą i świetną tradycję. Bo i trudno o lepsze role, niż w tej komedji. Wszystkie postacie dają aktorom duże pole do popisu. Wzniesienie „Głupiego Jakóba” nie sprawiło zawodu i pewnością zdobędzie w kronice teatralnej trwałą pozycję. Obok „Tessy” i wystawionego w warsztacie teatralnym „Orfeusza”, jest to jedno z najlepszych przedstawień sezonu. Duża w tym zasługa reżysera Edmunda Wiercińskiego, który świetnie wczuł się w ton komedji i bardzo inteligentnie ujął całość. Doskonale wypadło rozplanowanie sytuacji, dialogi przekonywały bezpośredniością, a liczne pauzy, bez których trudno sobie wyobrazić na scenie „Głupiego Jakóba”, miały zawsze szczęśliwe akcenty.

Szambelana grał Junosza-Stępowowski, który tę rolę może zaliczyć do rzędu swoich doskonałych osiągnięć. Miał niemyślność słowa i gestów, zachwycał starannym opracowaniem szczegółów, pozwalał zapominać, że gra. Gnuśność i ospałość Marty bardzo dobrze oddała Marja Dulęba, a Marjusz Maszyński, jako eks-porucznik miał jeden z najszcześniejszych wieców. Najszcześniejsze również słowa uznania należą się Janinie Romanównie za ładnie podaną Hanię i Hnydzinskemu u za szczerost i prostotę Jakuba. Świetnie wypadły epizody Buczyńskiej (Katarzyna) i Łapińskiego (Prezes). Dekoracje Słowińskiego udane.

Jerzy Andrzejewski.

Z plastyki

Pociąg — wystawa

Pojechałem siódmką przez Pragę do końca, aż na przystanek Michałów, żeby zobaczyć pociąg — wystawę. Przygotowania do wystawy są właśnie w toku, za kilka dni pociąg przyjeżdża na dworzec Wileński i tu będzie stał. Ponieważ to już drugi rok, o ile się nie mylę, tej imprezy, warto się rozpatrzyć w tem, co wytrzymało w niej próbę czasu, a co należałoby, na podstawie rocznego doświadczenia, zmienić, ulepszyć.

Należałoby... tu czujnym uchem łowić westchnienie wszystkich tych, których wartość reklamowo-artystyczna wystawy leży na sercu. W gruncie rzeczy dobrze wiadomo o pewnych mankamentach i łatwoby je usunąć, niestety głos fachowców w zakresie reklamy artystycznej nie zawsze jest brany pod uwagę.

Pociąg — wystawa organizuje Centralne Towarzystwo Popierania Wytwarzalności Krajowej. Zarządzenia Towarzystwa czuwa nad wyglądem wystawy i kieruje jej urzędzeniem art. — grafik, p. Paweł Poradowski. Firmy i wytwórnie zgłaszają swój udział w wy-

stawie, zakupuja na niej miejsce i z chwilą załatwienia tych spraw można przystąpić do urządzania reklamowej gablotki, stoiska, lub nawet całego wagonu, zależnie od wielkości zakupionego miejsca.

W tym momencie właśnie powinien wkroczyć na widownię, a raczej do wagonu, artysta — grafik reklamowy. Niektóre firmy delegują zaangażowanego przez siebie art. — grafika, który im urządza reklamę plastyczną. Inne korzystają z pomocy i doświadczenia kierownika wystawy, p. Poradowskiego. Inne jeszcze, a tych niestety jest bardzo dużo, urządzają swój kącik na własną rękę, własnymi siłami. Ponieważ miejsce kosztuje, praca art. — grafika też, robią to oczywiście przez oszczędność. Zobaczymy, czy to jest prawdziwa oszczędność i czy na takiej oszczędności kupiec, przemysłowiec, lub wytwórca raczej nie straci?

Im mniejsze miejsce, tem umiejętniej należy je wyszukać, wtenczas dobry pomysł swym dowci-

pem plastycznym dotrze do oczu zwiedzającego i zwróci jego uwagę. Kupcy nie doceniają możliwości grafika w tym zakresie i skutków materialnych dowcipnej reklamy, natomiast przeceniają, własne kwalifikacje w tym zakresie. Kupuje taka firma najmniejsze miejsce za 150 zł.; Poradowski, żeby jej pomóc, robi konstrukcję plastyczną, półeczki, podziały i t. p. Niestety zaraz potem wszystko przepada, gdyż firma zapycha tę konstrukcję doświetlone eksponatami, podział konstrukcyjny miejsca ginie w tym tłoku i niczego nie jest w stanie uwydatnić, ani podkreślić. Oto jeszcze wolne miejsce na ścianie, jakieś 30 cm. kwadratowych, szczęśliwa pauza dla oczu, coś co może być nader przydatne, jako tło dla wystawionego przedmiotu. Ale nasz kupiec rozumuje inaczej. Wolne miejsce? Więc tu na ścianie jeszcze jeden fidyrgatek (przecież ja zapłaciłem za miejsce — powiada).

W rezultacie, chaotyczna i natłoczona, ginie ta cała gablotka, ginie tembardziej, że obok jest kilkadziesiąt tak samo urządzonych. Ten zgiełk plastyczny męczy raczej nasze oko, zamiast je zwracać ku pewnym szczegółom. Groch z kapustą, kasza, ale wy-

datek na pomoc grafika niewątpliwie zaoszczędzony. Czy kupcowi nie przypadło jednak 150 zł. za miejsce, skoro właściwie nikt takiej reklamy nie zauważył. A jeżeli reklamy nikt nie dojrzał, to przepadły także wszystkie ewentualne z niej zyski. Oszczędność, czy strata?

Mówią, że kupcy są dobrymi psychologami. Dobry psycholog będzie się liczył z tem, że pociąg się składa z przeszło 30-tu wagonów. Wagon, zajęte w całości przez jedną instytucję, (nie każdy może sobie na to pozwolić) można policzyć na palecach. Resztą zajmuje tylko część miejsca w wagonie, mając obok siebie kilku, lub kilkunastu sąsiadów. Pomnożmy tych kilkanaście pozycję przez ilość wagonów, a otrzymamy menu dla widza, złożone z olbrzymiej ilości dań. Trzeba się liczyć z jego zmęczeniem i nie nadużywać pamięci wzrokowej zwiedzającego. Kupiec, lub wytwórca mógłby pokazać wszystko, co ma na sprzedaż, gdyby tak samo nie pragnął postąpić jego sąsiad. W tym stanie rzeczy nie należy traktować miejsca na wystawie — pociągu, jak witrzyn sklepowej, albo cząstki wnętrza sklepu. Te miejsca są przeznaczone na reklamę. A re-

kлама trafnie pojęta musi uwzględnić otoczenie i okoliczności w jakich się znajduje. „Mało, a pomysłowo i dowcipnie” — powinno być w tym wypadku dewizą wystawców.

Niektóre firmy zrezygnowały z pomocy specjalisty, grafika reklamowego, bynajmniej nie ze względów oszczędnościowych. Istnieje, niestety, zbyt jeszcze popularne przekonanie, że plastyki nie trzeba się uczyć. Każdy ma przecież, wedle własnego mniemania, wrodzone poczucie estetyki. A plastyka to nie jest chybą żadna specjalność. Znana firma kosmetyczna, która mogła sobie pozwolić na grafika pierwszorzędowego i najdroższego, zrezygnowała z pomocy artystów i poradziła sobie sama. Postawiła poprostu na wystawie dwie szafy ze swego sklepu...

Możnaby naturalnie temu wszystkiemu zaradzić, wprowadzając pewien cenzus artystyczny. Trudno ludzi oczywiście zmuszać do korzystania z płatnej pomocy grafika, ale należy odrzucać przedstawione przez firmy oraz rozmaite instytucje wystawiające, projekty reklam, o ile nie będą na jakim takim poziomie artystycznym. Tą zasadą kierownik

wystawy, p. Poradowski, nawet stosuje, ponieważ jednak „Centralne Tow. Pop. Wytw. Krajowej” pragnie zachęcić do jaknajliczniejszego brania udziału w wystawie, w rezultacie patrzy się na mankamenty zgłaszanych projektów przez palce.

Bywają i względy inne. Oto np. jakaś pożyteczna placówka społeczna, lub państwowa zgłasza swój udział. Szef tej instytucji, sympatyczny i dzielny pan major, przypomina sobie, że kiedyś malował akwarelę. Wyraża więc gotowość wymalowania pewnego szczegółu stoiska osobiście. Kierownictwo wystawy płód panamajorowego natchnienia przyjmuje, zastrzegając, że czyni to jednak, nie w podziwie dla jego talentu, a przez sympatię dla naszej armji.

Na jednym z końców pociągu wystawę jest wagon, którego nie danem mi było zwiedzić. Na zapytanie, co się w nim znajduje, powiedziano mi, że bar. Na zapytanie: czyjej firmy? dostałem odpowiedź, że firmy to właściwie żadnej, tylko dla pana wojewody, lub starosty, gdy w czasie podróży pociągu po kraju, chce zobaczyć z nich zwiedzić wystawę.

Wiktor Podolski.